

ręczna robota, żadnej automatyki, jedna toaleta, zero prysznicza. Jednym słowem „Szkwał

Oldtimer po sześćdziesiątce



W kolejce, by popłynąć „Szkwałem” nawet w najkrótszy rejs, czeka przynajmniej 50 osób. Jacht może wziąć na pokład tylko 10. I psa.

obrotni ranek, okolice Wisłoujścia. Słońce przedziera się przez chmury, więcej trójka, można ruszać. - Sklarujcie żagiel! - dysponuje kapitan Zbigniew Werner i wszyscy pędzą na pokład. Akcja trwa trzy minuty, może pięć. Gotowe.

Oplywani są przecież, otrząskani. Stare wygi. Tyle weekendów w morzu, przez tyle lat. Normaalka. Już nie pamiętają, że kiedyś nie odróżniali kubyka od kokpitu, nie wiedzieli co to gording, co grot. Pamiętają jednak swój pierwszy raz, bo takich rzeczy się nie zapomina.

- Był rok 1998, jesień - zaczyna Asia. - Dokoła mgiła, okropny ziąb. Snułam się z koleżankami po nabrzeżu, trochę zła. I wtedy zobaczyłam ten jacht: piękny, drewniany, nazywał się „Szkwał”. - Chcecie popływać? - zapytał kapitan.

Pewnie że chciały! Wbiegły na pokład całą bandą, jacht ruszył na zatokę, a kapitan pozwolił potrzymać ster. Co za jazda! No więc złapały bakcyła i już wiedziały, że wiosną przyjdą tu znowu.

- Na skrobanki - podpowiada Bartek. - Bo za pływa-

nie jachtem się nie płaci, ale wypada przy nim popracować. Zwłaszcza przed sezonem, gdy trzeba łódkę przygotować. Trochę poszlifować, trochę podokręcać.

Szkwał najstarszy

Asia ma 18 lat, Bartek - 15. Najmłodszy jest Szymek, który skończył 13 i do Polskiego Klubu Morskiego przy Twierdzy Wisłoujście dojeżdża aż zza Tczewa. Jeszcze Basia, dwie Kasia, Szymon, Konrad, trzy Magdy. Michał, który - podobnie jak Dominik - jest synem kapitana. I żona Michała, Dorota, która piecze górnice babki. Górnice, ho... ciemne.

- Przez pokład przewija się zdecydowanie więcej osób - uściśla kapitan. - Chyba z pięćdziesiąt. Ale miejsce jest dziesięć i tylko tyłu zeglarzy może popłynąć. Dłatego robimy grafiki.

Najstarszy ze wszystkich to „Szkwał”. Ma 65 lat. Oldtimer. Do 1979 roku był własnością Akademickiego Klubu Morskiego w Gdańsku. Potem - Zbigniew Werner go kupił. Za równowartość 200 dolarów, bo jacht nadawał się na opał.

- Po co ci on? - pytali ko-

wypłynię na wodę!

- Ja kocham ten jacht - odpowiadał. - Kiedyś na nim pływałem. I sprawię, że znowu ruszy w morze.

Naprawiał go przez sześć lat. Poświęcał mu każdą wolną chwilę. Ale zanim remont na dobre zaczął, przyprowadził znajomych o palicytę serca. Bo najpierw wziął strażacki toporek i - dając jacht rąbać. Na początek - dno, żeby usunąć zniszczone drewno. Na „Szkwał” wchodziło się wtedy od spodu.

Potem kombinował materiały (były chude lata osiemdziesiąte!) i nowy wystrój. Na przykład, forpik na dziobie przerobił na podwójną koję.

- To hundkoja - objaśnia. - Sypiam na niej razem z psem, Funiem.

W 1995 roku, z Funiem i trzema synami, wypłynął „Szkwał” w pierwszy rejs po Zatoce Gdańskiej. Dominik miał siedem lat, ale już wtedy czuł bluesa. Gdy skończył dwanaście, zdobył patent żeglarski, a rok później - ratował topielca.

Morskie opowieści

Z topielcem to było lak. Wrócali z regat, zbliżali się do mola w Brzeźnie. I nagle

zobaczyli w wodzie murka, w pełnym rynsztunku. Dosyć dziwnie się zachowywał; machał ręką i wołał: El! Zrozumeli, że się topi, więc rzucili kotwicę i zaczęli akcję ratunkową.

Dominik, który jako jedyny (poza kapitanem) miał wówczas uprawniemia, trzymał ster, inni usilowali murka wy dostać. On im specjalnie nie pomagał; potem okazało się, że nigdy wcześniej nie zakładał akwalingu. Wciąż spórtował na pokład i odtransportowali w bezpieczne miejsce.

- Ratownicy WOPR, którzy do nas podpłynęli, nie chcieli faceta zabrać - przypomina Dominik. - Powie-

dzieli, że ich łódka to nie tak sówka. Basia wspomina inną przygodę. Zeszłoroczną. Płynęli, na żaglach, z Helu do Władysławowa. I nagle zerwał się wiatr. Z dwójki zerobiła się ósemka.

- Siedząc pod pokładem i widząc przez świetlik, że genera, czyli duży przedni żagiel, fruwa razem ze sztagiem i zaczyna robić za chodzągwę - relacjonuje. - Pruje się na naszych oczach! - Zanim go ściągnęli, zostały strzępy. I powiewały żałobnie.

- Pewna pani, która potem trzepoczące resztki ujrzała, zaproponowała, by przycisnąć je laczkiem do kei - uśmiecha się Asia. - Nawet chciała dać swój kłapek...

- A pamiętacie, jak silnik nam się kiedyś topił? - przypomina Bartek. - Przez niedopatrzenie, bo nie dokręciliśmy śruby. Odpłynął i dalej, skubany pracował. Przez godzinę się z nim szarpaliśmy.

- Trochę koloryzujesz - mityguje Bartka kapitan.

- No, dobra. Przez kwadrans. Ale na pewno godzinami mogłby o morskich przygodach opowiadać.

Kompletnie zwiariowani

„Szkwał” nie wyrusza daleko. To nie jest jacht dalekomorski.

- Na dużej fali zachowuje się jak łódź podwodna - dowcipkuje Szymon. - Dookoła świata nim nie popłyniemy.

- My nie musimy pływać daleko - uważa Bartek. - Fajnie jest jak jest. - Ten jacht ma duszę - podkreśla Asia. - Specyficzny klimat. Bo to drewno, a nie laminat. Ręczna robota, żadnej automatyki. Jedna toaleta i przysznica za burtą. W specjal-

nych szelkach. Bartek przypomina, że czasami, gdy toaleta nie wytrzymała, nawet sikać trzeba za burtę. Nocą i przy wysokiej fali - też w szelkach.

- Ale to ma swój urok - znaczą. Na punkcie jachtu są kompletnie zwiariowani. Uwielbiają go.

- Ja też - przypomina kapitan. - Gdy Roman Paszke nagabuje mnie, bym go sprzedał, odpowiadam, że nie ma tyle pieniędzy.

Niektórzy nagabują kapitana w sprawie załogi. - Skąd ty ich bierzesz? - pytają.

- Ja ich nie biorę, oni sami przychodzą - odpowiada Werner. - Popłynąć może każdy, kto kocha żeglarstwo i ma to „coś” w oczach. Za darmo. Za paliwo i marinę sam płacę.

Zdolni są, zachłanni na życie. Szkolą się, zdobywają patenty sternika motorowodnego, strzelają z wiatrówki, szusują na nartach, grają w tenisa, wspinają się po skałkach. Nurkują.

- Gdy cichnie wiatr, rzucamy kotwicę i wyjmujemy sprzęt - opowiada Asia. - Meduzy już nas rozpoznają.

Irena Kaszyń